

Ziemia Opatowska

NIEPERIODYCZNE PISMO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZIEMI OPATOWSKIEJ Nr 30/2016



ISSN 0860-49991

Ziemia Opatowska

NIEPERIODYCZNE PISMO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZIEMI OPATOWSKIEJ

Spis treści

Andrzej Żychowski Kamienica zwana „Ludzka krzywda”	str. 4
Anna Ćwikła „Nawrócenie”	str. 7
Zbigniew Zybala „Gdzie duch spotyka się z przestrzenią”	str. 10
Magdalena Gdowska Subiektywna historia	str. 15
Jacek Woyno Koniec wojny 1918 r. w relacji A. Lipińskiego	str. 17
Iwona Goral „Nurt” zapomniany bohater	str. 21
Marian Stępniewski, Zbigniew Nogal O generale i opatowskich gimnazjalistach	str. 24
Ignacy Wnuk Wspomnień czar	str. 28

Ziemia Opatowska

NIEPERIODYCZNE PISMO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ
ZIEMI OPATOWSKIEJ Nr 30/2015

REDAGUJE ZESPÓŁ

JERZY BRUDKOWSKI
IRENA SZCZEPAŃSKA
ANDRZEJ ŻYCHOWSKI
SKŁAD: KRZYSZTOF WAWRZOSEK

KONTAKT

UL. PARTYZANTÓW 13A LOK. 16
27-500 OPATÓW
andrzej_zych@poczta.fm

WYDAWCA

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ZIEMI
OPATOWSKIEJ
UL. PARTYZANTÓW 13A LOK. 16
27-500 OPATÓW
www.tpzo.net

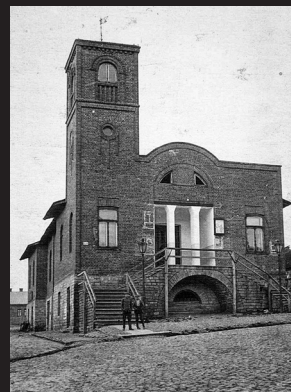


ISSN 0860-4999I

DRUK

DRUKARNIA KOPRZYWNICA

TEKSTÓW NIE ZAMÓWIONYCH NIE
ZWRACAMY. ZASTRZEGAMY SOBIE
PRAWO DO SKRÓTÓW I ZMIANY
TYTUŁÓW



NA OKŁADCE: OPATÓW KINO - TEATR
FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW ANDRZEJA
ŻYCHOWSKIEGO

Kamienica zwana „Ludzka krzywda”



Uroczyste pożegnanie Seweryna Horodyskiego, rejenta w Opatowie odbyło się dnia 10 września 1917 roku. Podczas mszy świętej ksiądz Szymon Pióro podkreślił zalety i zasługi wymienionego dla instytucji dobroczynnych, działalność społeczną dla miasta i powiatu. Następnie najwybitniejsi mieszkańcy udali się na uroczystą akademię do nowego gmachu Straży Pożarnej. Zebrani wręczyli panu Sewerynowi pożegnalny

dyplom pod którym widnieją podpisy 27 osób.

Wśród nich zwraca uwagę nazwisko Anieli Rogozińskiej z dopiskiem „właścicielka domu Ludzka Krzywda”. Ksiądz Władysław Fudalewski w wydanej w 1895 roku monografii miasta pochwalił budowanie domów poza murami: „wielu mieszczan pozbyło się własności w Rynku, domy ponabywali Żydzi. Wyparci chrześcijanie budują domy przy

drodze do Sandomierza. Stała tam duża kamienica i kilka domów drewnianych”. Nie jest to do końca prawdziwe spostrzeżenie, gdyż w pobliskiej lokalizacji wspaniałe rezydencje zbudowali bogaci opatowscy Żydzi Lebenstein i Langer. Jednak najwięcej emocji wśród mieszczan opatowskich wzbudzała wspaniała kamienica przy ulicy wylotowej do Sandomierza.

W roku 1897 ksiądz Kazimierz Rogoziński kupił kawałek gruntu z drugiej ręki od Żyda mieszkańca miasta Opatowa niejakiego Haima. Grunt ten należał poprzednio do mieszkańców miasta Jana i Rozalii małżonków Tomczyk, wspomniany ksiądz zakupił go na imię brata swego zamieszkałego w Opatowie, Jana Alojzego Rogozińskiego. Wkrótce w szybkim tempie na pustym placu postawiono jedną z najokazalszych i największych kamienic opatowskich. Taka inwestycja wymagała ogromnych pieniędzy i sprawnego zmysłu.

Dla wszystkich zainteresowanych oczywistym był fakt, że całym przedsięwzięciem kierował ksiądz Kazimierz Rogoziński. Urodzony w Opatowie w 1821 roku, syn Pawła, Obywatela Seniora Różańca świętego w Kolegiacie św. Marcina. Po ukończeniu w Opatowie szkoły elementarnej (1834), uczęszczał do szkoły obwodowej w Sandomierzu (1834 – 1837), potem Gimnazjum w Kielcach (1837 – 1840), następnie alumn Seminarium Duchownego w Sandomierzu (1840 – 1841) i student Akademii Duchownej w Warszawie (1843 – 1847), przyjął święcenia kapłańskie z rąk bpa Józefa Goldmana w Sandomierzu 24 września 1847 roku. Pracę duszpasterską rozpoczął w Trójcy (1847 – 1848), przez rok był kapłanem biskupa Goldmana i przez 50 lat proboszczem parafii Momina (1849 – 1899), ostatecznie został administratorem parafii Szumsko (1899 – 1904) gdzie

zmarł i został pochowany. Trwałymi pamiątkami po wymienionym kapłanie jest epitafium żałobne w przedsionku kościoła szumskiego i kielich w zakrystii kościoła momińskiego. Ksiądz Rogoziński nie należał do grona romantycznych kapłanów patriotów w rodzaju księży Przybyłowskiego, Kotkowskiego i Zakrzewskiego. Według bliskiej kuzynki, siostry zakonnej Imeldy Adamskiej, opanowała go żądza pieniądza i gromadzenia majątku. Miał znakomite kontakty z opatowskimi Żydami, za ich pośrednictwem udzielał ludziom pożyczki na lichwiarski procent. Pożyczał pieniądze za pośrednictwem Żydów Zajfmana, Haima i Abusia Blitentala. Oskarżano go o trzymanie Żyda w budynku przy kościele, ten jednak tłumaczył się miłosierdziem chrześcijańskim w związku ze spaleniem się domu w którym ów Żyd uprzednio mieszkał. Ponadto wszedł w posiadanie dużych pieniędzy po zmarłych kuzynach. Przez 50 lat pracował w parafii Momina, był znany z niebywałego skąpstwa i zaufania pieniądzwowi. Od parafian wymagał bezwzględного posłuszeństwa i terminowych opłat za dzierżawę ziemi. Największym zaufaniem darzył swojego najmłodszego brata Jana Rogozińskiego. Na „Sandomierce” wystawił mu dużą kamienicę, którą ludzie natychmiast przewalili „ludzką krzywdą”, piętnując w ten sposób niesprawiedliwość księdza Kazimierza. Dwoje najstarszych dzieci Jana, mianowicie syn Marceli i córka Eugenia, mieli swoje rodziny i nie mieszkali w Opatowie, syn Czesław był chorowity. Dlatego ster domu Rogozińskich na Sandomierce dzierżyła mocno w swych rękach ich najmłodsza córka Aniela.

Z pomocą ekonoma Pałki kierowała całym gospodarstwem. Szczególną opieką otaczała jego syna Antoniego, troszczyła się o jego edukację i hojnie obdarowała

w życiu dorosłym. Wygląd domu rodziny Rogozińskich szczegółowo opisała wspomniana kuzynka siostra Imelda Adamska. „Wizyty na „Sandomierce” składaliśmy zwykle w okresie Świąt Wielkanocnych. Podziwialiśmy bogate święcone z arcydziełem „ciotki”, królującym w środku, wysokim tortem, zwanym baumkuchem po polsku sękaczem, którego piramida wznosiła się wysoko, a na jej szczycie spoczywała amarantowa róża z cukru. Dla mnie największą atrakcją stanowił barometr wiszący na futrynie drzwi wiodących na balkon. Przedstawiał zakonnika, który na pogodę wychodził z domu i modlił się pod krzyżem, natomiast na słotę chował się do domu. Byłam gotowa stać przez cały czas wizyty przed tym barometrem, lecz karcące dyskretne spojrzenie cioci Jadzi przywoływało mnie do porządku. Trzeba było siedzieć grzecznie w saloniku lub przy stole w pokoju jadalnym, słuchać rozmowy starszych i spożywać święcone. Raz nawet pozwolono nam, dzieciom, tj. Marychnie i mnie z Jurkiem wyjść do sadu. Był bardzo duży. Ciągnął się od domu aż do rzeki”.

Po śmierci Jana i Teofili z Grabińskich oraz ich córki Anieli rodzina Marcelego i Eugenii z Rogozińskich Drzewieckiej zagarnęła spory majątek. Sukcesorzy jednak zupełnie zapomnieli o swoich dobroczyńcach spoczywających w podziemiu kaplicy cmentarnej na cmentarzu opatowskim.

Pomimo upływu ponad 100 lat kamienica nadal budzi podziw swą wielkością i pięknem, dodatkowo po przeprowadzonym przez nowych właścicieli generalnym remoncie.



„Nawrócenie”

Sztuka ludowa, regionalna, napisana w trzech aktach, oparta na prawdziwych wydarzeniach obserwowanych wśród rodzin zamieszkałych w okolicach podmiejskich zamożnych gospodarzy. „Nawrócenie” było trzecim z kolei utworem scenicznym opracowanym specjalnie na dzień św. Stanisława Kostki patrona młodzieży licealnej, której prefektem był wówczas ksiądz Stanisław Chrzanowski, a dyrektorem Liceum ksiądz Antoni Prügel. Wspomniany wcześniej ks. Chrzanowski zwrócił się do mnie z propozycją, żeby napisać utwór sceniczny odpowiedni na urządzenie akademii zorganizowanej przez młodzież w dzień jej patrona.

Po dziewięciodniowej nowennie odprawionej przez młodzież pod patronatem księdza prefekta uroczystą akademię wypełniła moja sztuka pt. „Nawrócenie”, było to w listopadzie 1932 roku. W czasie akademii przygrywała orkiestra gimnazjalna pod dykcją pana Józefa Głogowskiego. Reżyserem różnych spektakli, również moich sztuk, był niezastąpiony, kwalifikowany muzyk i kompozytor, organista Kolegiaty Władysław Gnatowski.

Proboszczem parafii opatowskiej był w latach 1916-1934 ksiądz prałat Szymon Pióro, był to cichy lecz wielki przyjaciel młodzieży katolickiej, której byłam prezeską w latach 1921-1932.

Ksiądz prałat wysoko cenił moją pracę i moje sztuki. Patronem Stowarzyszenia Młodzieży był wówczas ksiądz Leon Figarski. Generalnym diecezjalnym sekretarzem stowarzyszenia był ksiądz Leon Rafalski, natomiast generalnym patronem ksiądz Jan Koziński, obaj księża mieszkali i pracowali w Radomiu. Po objęciu przez księdza Figarskiego parafii Łągów Kozienicki obowiązki patronatu objął nowy wikariusz ksiądz Leon Wróblewski.

Z jego inicjatywy Stowarzyszenie Młodzieży ufundowało sobie sztandar. Wykonanie haftem orła i napisów przypadło mnie jako wychowance sióstr zakonnych u których ukończyłam 5-letnią szkołę haftu i innych robót kobiecych. Siostry prowadziły szkołę w budynku parafialnym w Opatowie.

Uroczyste poświęcenie sztandaru poprzedzono mszą świętą, a wbijanie gwoździ w drzewiec odbyło się w budynku kina, który był oddany Straży Pożarnej. Piękna sala widowiskowa i prosto urządzona scena służyły organizacjom na zebrania, występy i bale, natomiast ekran na scenie do wyświetlania filmów. Dokładnej daty poświęcenia sztandaru nie pamiętam, było to piękne lato około 1926 roku. Uroczystościom poświęcenia patronował ksiądz prałat Szymon Pióro. W doniosłym i serdecznym przemówieniu do zebranych licznie gości i młodzieży wyraził swoje uznanie

i zadowolenie, a także wdzięczność społeczeństwu opatowskiemu za popieranie i pomoc w różnej postaci młodzieży stowarzyszonej. Podkreślił w przemówieniu moje zasługi jako przodownicy w pracach młodzieży, dziękując mi za pięknie wykonany sztandar.

W celu większego rozwoju działalności młodzieży przekazał 10000,00 złotych na budowę Sali ludowej która służyłaby swobodnemu i niezależnemu rozwojowi życia kulturalnego młodzieży. Wybudowany murowany budynek półpiętrowy nazwany Domem Ludowym jest łącznikiem budynków piętrowych w których mieści się Probstwo i Wikariat. Pierwsze przedstawienie „Przysięgi Jurdaków” odbyło się w 1932 roku w reżyserii Władysława Gnatowskiego. Treść sztuki i żywiołowe akcje, a także gra aktorów były szokującym przeżyciem widzów i nas grających. Na żądanie publiczności sztuka była wielokrotnie grana w Opatowie, a także na innych scenach jak w Ostrowcu Świętokrzyskim w remizie strażackiej, w Staszowie na dużej scenie.

Duża sala była wypełniona wojskiem które miało swą siedzibę w Staszowie i wiele scen było oklaskiwanych hucznie przez żołnierzy. Podróż w dalsze okolice odbywaliśmy konnymi wozami, dobrze wymoszczonymi sianem o szerokich, wygodnych siedzeniach. Po występie staraniem starszyny wojskowej urządzono nam zabawę, a do domu wracaliśmy zadowoleni o białym dniu.

W pierwszym wykonaniu sztuki występowali następujący aktorzy: Czesław Chudzik, Zofia Kaprzykówna, Anna Mendalanka, Janina Chrzanowska, Czesław Rogoziński, Zofia Górecka, Zofia Jachniewiczówna, Marian Ćwikła, Helena Woźniakówna, Bolesław Kucharski, Wojciech Popek, 2 statystów. Występy

nasze były głośno komentowane w naszym środowisku, a w społeczeństwie inteligenckim zdobyły wysokie uznanie.

Po „Przysiędze Jurdaków” zabrałam się pilnie do opracowania sztuki dla młodzieży na listopad. Oparłam sztukę na faktach, które miały miejsce wśród moich bliskich sąsiadów, a mieszkalam wówczas tuż na granicy Opatowa z Oficjałowem. Opracowałam sztukę trzyaktową pod tytułem „Nawrócenie”, która po przeczytaniu w gronie ludzi zainteresowanych, przyjęta została oklaskami najwyższego uznania. W skład grających wchodził: Czesław Chudzik – Stanisław, Zofia Kasprzykówna – Marycha, Maria Nowakowska – Jadwinia, Janina Chrzanowska – ciotka, Czesław Rogoziński – Ignac, Bolesław Kucharski – Szatan, Zofia Górecka – Służąca, Ludwik Antoniewicz – Żyd sklepikarz wiejski, Wojciech Popek – parobek, Antoni Chodkiewicz święty Stanisław i jaśniejąca postać białego anioła. Wstęp rozpoczęła deklamacja wiersza Marii Konopnickiej pod tytułem „Wielki Piątek”. Wiersz wykonała pięknie i z uczuciem Maria Nowakowska. Sztuka „Nawrócenie” była kilkakrotnie grana śladem „Przysięgi Jurdaków” w roku 1932 jesienią. Przy końcu 1934 roku ksiądz prałat Pióro przeniósł się do Siedlec, gdzie miał zapewniony odpoczynek na sędziwe lata. Proboszczem parafii i kolegiaty opatowskiej został ksiądz prałat Hieronim Cieślakowski. Zespół nasz był przez nowego proboszcza ceniony i popierany. W roku 1936 ksiądz Cieślakowski wydał drukiem na własny koszt sztukę „Przysięga Jurdaków”. W tym roku 24 października odbył się mój ślub z członkiem zespołu Marianem Ćwikłą. Uroczysty ślub i przyjęcie weselne opisałam w szarym zeszycie w roku 1986 z nagłówkiem „Mój Jubileuszowy Zeszyt. Utwory drobne”.

Wśród członków zespołu tworzyły

się pary małżeńskie i to dodawało zespołowi powagi i szacunku. Marian Ćwikła wyróżniał się skromnością, ale przede wszystkim pięknym głosem, wykonywał solo pieśni w chórze kościelnym i na scenie. Był to chłopiec związany z kościołem od najmłodszych lat, był ulubieńcem organisty Władysława Gnatowskiego, który w wolnych chwilach dawał mu lekcje gry na fortepianie i ćwiczył jego głos. Marian również wyróżniał się czystym i wyraźnym charakterem pisma i z tej racji pan Gnatowski powierzył mu przepisywanie aktów parafialnych z ksiąg podręcznych do ksiąg wieczystych. W roku 1937 zespół przerwał swą działalność z powodu poważnej choroby pana Gnatowskiego. Wysłany dla leczenia do sanatorium powierzył swoje zastępstwo w chórze Marianowi, z tego okresu mam wśród pamiątek kartkę widok z pozdrowieniami z Solca Zdroju. W dniu 7 października 1938 roku pan Władysław Gnatowski zmarł na białaczkę w wieku 64 lat. Działalność zespołu tak na scenie jak też na chórze została przerwana na długie lata. Wybuch II wojny światowej zamknął drzwi kultury i życia zbiorowego. Przyjęty nowy organista z Łagowa, pan Wojciech Sokołowski z początkiem wojny został powołany do wojska. Przez rok 1939 zastępował go mój mąż. Z początkiem roku 1940 Sokołowski wrócił z wojska z powodu złego stanu zdrowia, natomiast Mariana Ćwikłę zaangażowali Ojcowie Bernardyni do klasztoru, gdzie pełnił obowiązki organisty przez 17 lat. Oprócz gry w klasztorze w każdą niedzielę i święta służył swoim głosem i grą na fisharmonii w czasie mszy świętej odprawianej w kaplicy szpitala św. Leona w Opatowie.

W roku 1945 członkowie zespołu postanowili wznowić działalność i pod moim przewodnictwem z zapalem zaczęli robić starania przez zebrania i dyskusowania i na pierwszym spotkaniu uchwalono, że należy wystawić na pierwszy ogień moją „Przysięgę Jurdaków”. Pierwsze próby prowadziliśmy na zdemolowanej scenie bez kulis i światła. Garderoby i inne pomieszczenia w budynku zajmowali żołnierze radzieccy tymczasowo zakwaterowani w Opatowie. Wśród żołnierzy były też młode kobiety, wszyscy z wielkim zainteresowaniem obserwowali wykonywanie ról w sztuce. W przerwach między aktami dawali nam koncerty pieśni i gry na harmonijce, gitarze, mandolinie i bałabajce. Ich pieśni z muzyką były piękne i nie szczędziliśmy im głośniego uznania i oklasków. Dawali nam też pokazy tańców ukraińskich, a wykonany przez kilka par kozak wprawiał nas w zachwyt. Trzeci akt w sztuce toczy się w lesie, przy omawianiu urządzenia lasu na scenie, młodzi żołnierze zgłosili gorącą chęć dostarczenia nam zieleni. Zwieźli samochodami stopy dużych gałęzi, kłęby paproci, gałęzi świerków, brzozy i sosny. Nie było możliwe zmieścić wszystkiego na scenie, dlatego rozmieściliśmy zielen w kątach i w oknach sali widowiskowej. O tej dekoracji i o całości widowiska pisała ówczesna prasa. Grę naszą powtarzaliśmy wielokrotnie i wyjeżdżaliśmy do innych miejscowości. Przez ponad rok patronował zespołowi Zarząd Straży Pożarnej którego naczelnikiem był Zbigniew Małycha, dobry przyjaciel zespołu. Potem przejęła opiekę Powiatowa Rada Narodowa.



„Gdzie duch spotyka się z przestrzenią”



Wspaniałe, opatowskie zabytki wpisują się mocno w historię sztuki polskiej, stanowiąc też wyraz obecności dawnej Rzeczypospolitej w sferze kultury europejskiej. Pewne pierwowzory, romańskie elementy architektoniczne opatowskiej kolegiaty badacze tematu odnajdują gdzieś na południu Niemiec czy w odległej Francji. Wzorców dla tutejszych renesansowych nagrobków możemy natomiast doszukać się w dalekiej Italii. Mamy tu przykłady dzieł prekursorskich dla rodzimej sztuki nagrobnej oraz ich kontynuowania przez miejscowych Sarmatów. Nie popadniemy w przesadę twierdząc, że również i tu, w Opatowie zaczynał się polski renesans a kultura staropolska miała swoją kolebkę.

Wyrazisty element tej kultury to dążenie jej możliwych przedstawicieli do upamiętnienia siebie. Unikalnym zjawiskiem

w polskiej sztuce były portrety trumienne. Okres staropolski przyniósł też tzw. „pompa funebris” czyli szlachecki ceremoniał pogrzebowy. Towarzyszyły mu widowiskowe procesje, popisy oratorskie, mowy, zachwalające cnoty i zasługi zmarłego, a ich artystycznym zwieńczeniem było zazwyczaj wystawienie okazałego nagrobka z realistyczną podobizną zmarłego. Czynność ta okazała się typowa dla naszej szlachty, sarmacka, nigdzie indziej nie spotykana na taką skalę.

Jest rok 1525 kiedy Krzysztof Szydłowiecki, który przeznaczył kolegiatę opatowską na mauzoleum rodowe otrzymuje cios od losu. Umiera jego zaledwie roczny synek Ludwik Mikołaj. Inskrypcja na ufundowanym przez ojca nagrobku głosi: „synowi swemu jako kwiateczkowi na otuchę najzacniejszego domu swego wyrosłemu, a rok potem zwiędłemu”. Takie okazywanie uczuć wobec dziecka to novum, o dziesiątki lat wyprzedzające „Treny” Kochanowskiego.

Dzieło wykonano z „kamienia królewskiego” czyli czerwonego węgierskiego marmuru, będącego surowcem dla najwspanialszych nagrobków królewskich na Wawelu. Posłużył on włoskim mistrzom do stworzenia pierwszego w naszej historii nagrobka dziecięcego. Z jednej strony mamy przedstawione z realizmem dziecko, a właściwie jeszcze niemowlę. Z drugiej - to wyidealizowane putto, czyli chłopczyk, kojarzący się z amorkiem, czego przykład odnajdujemy w sztuce Andrei del Verrocchio. Przykrycie go draperią budzi skojarzenia z antykiem, a także ze sztuką włoskiego quattrocenta. O autorze twierdzi się, że to sam Bartolomeo Berrecci, główny twórca Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Badacz postaci Krzysztofa Szydłowieckiego i jego artystycznych fundacji Jerzy Kieškowski jako autora proponował jednak bliskiego współpracownika Berrecciego – Antoniego z Fiesole (okolice Florencji), zarazem ucznia Andrei Sansovino. A przecież „poza sansovinowska” – owe skrzyżowane nogi i podparta dłonią głowa to „znak firmowy” rzeźby nagrobnej o włoskim pochodzeniu. W takiej pozie spoczywają ostatni Jagiellonowie. Warto podkreślić, że poza Ludwika Mikołaja z opatowskiego nagrobka wyprzedza te królewskie. Całość posiada odosobnioną na ziemiach polskich postać pomnika podwieszonego przy ścianie, trzyczęściowego.

Typ nagrobka dziecięcego nie wykształcił się jako odrębna forma nigdzie indziej. Mamy więc w Opatowie pierwowzór, który będąc importem z dalekiej Italii stał się wzorem dla staropolskiego, wzruszającego sposobu oddawania hołdu i czci utraconym dzieciom. To nie tylko troska o żywotność rodu, ale i wyraz głębokiego przywiązania. Takie przedstawianie dziecka w sztuce, literaturze - jako osoby, posiadającej indywidualne cechy to właśnie jeden z przejawów renesansu. Odnajdujemy przy tym kolejny element kultury staropolskiej – to wyrażanie silnych związków rodzinnych, znajdujące swój wyraz we wspaniałych dziełach.

Następnym unikalnym zabytkiem renesansowym z Opatowa jest płyta nagrobna, poświęcona również zmarłemu w niemowlęctwie synowi Krzysztofa – Zygmuntovi. To unikatowy pomnik metalowy dziecka w postaci reliefu, w którym jest zarówno idealizm, jak i naturalizm. Idealizm w dziecku krocącym, jakby zmarłychwstającym, okrytym materią, która spływa w formie fantazyjnej draperii. Realizm widać we wzdętym brzuszku postaci (przyczyna śmierci?) oraz twarzy, na której dostrzec można grymas. Sugeruje więc Kieškowski, że to maska pośmiertna stała się kanwą do stworzenia stylizowanego portretu. Takie portrety – jako „biusty” – popiersia zmarłych członków rodziny rozpowszechnione były w XV-wiecznych Włoszech i miały swoje źródło w antycznym Rzymie, gdzie galeria masek przodków znajdowała się w domach zamożnych obywateli. Co znamienne – na obu nagrobkach dziecięcych mamy Odrowąża ze smokiem, a więc godło, którym chlubił się kanclerz Krzysztof i które pragnął na zawsze przekazać swoim niedoszłym spadkobiercom.

Początkiem tworzenia nagrobka samego kanclerza - za jego życia mogło

być zdjęcie „maski z natury”. O tym, że portretowe ujęcie twarzy Szydłowieckiego to może być „maska zdjęta z natury” przekonywał Jerzy Kieszkowski. Podkreślał, że podczas zdejmowania wizerunku, zalewania twarzy gipsem Krzysztof żył, gdyż mimika twarzy – zmarszczone brwi, zaciśnięte usta – wyraźnie na to wskazują. Na dowód przytaczał nawet opisy urządzeń, wykorzystywanych do sporządzania gipsowych odlewów twarzy w celach uwiecznienia na nagrobku. Później rzeźbiarz mógł dokonać „imitacji idealnej”, stworzyć z tego portret. Dłonie również mogły być wykonane w ten sposób. Są to jedyne elementy żywe, przykryte szczerze rycerskim kostiumem. I tu mamy początek tradycji przedstawiania polskich szlachciców w pozie „vir armatus”, czyli mąż zbrojny, uzbrojony, rycerz z całym swoim dostojeństwem, przepychem i siłą. Śpi snem wiecznym, a jednak jest groźny i gotowy. To zbrojny Sarmata – symbol militarnej i politycznej potęgi Rzeczypospolitej. O Szydłowieckim wiemy, że był wytrawnym dyplomatą i wyrachowanym politykiem a nie wojownikiem. Lecz tutaj kazał się ustroić we wspaniałą renesansową zbroję kanelowaną (żłobkowaną) i czepiec jako nakrycie głowy, ale też umieścić przy boku potężny miecz dwuręczny oraz parady szyszak z pawimi piórami i własnym herbem, kojarzący się z tymi, których używali rycerze podczas turniejów. Przepych podkreślają dwa łańcuchy – może te, darowane przez cesarza Maksymiliana I i jego wnuka Ferdynanda, pierścienie na każdym palcu, a także proporzec ze smoczym Odrowążem.

I znów nowość, nie tylko jeśli chodzi o treść, ale i samą strukturę. To w Opatowie pojawiła się nowa struktura nagrobka pulpitowego przyściennego z bocznymi niszami. Takie tradycyjne, rycerskie ujęcie

z pogranicza średniowiecza i renesansu, z postacią sztywną, po gotycku frontalną, z realizmem tylko w twarzy sugerowało niektórym badaczom autorstwo Niemca. Dziś, dzięki wnikliwym porównaniom z innymi dziełami wiemy, że głównym autorem dzieła jest Bernardino di Zanobi de Gianotis, zwany Romanus, czynny w Polsce w latach 1524-41.

Wraz z Giovannim czyli Janem Cini ze Sieny oraz Filipem z Fiesole w 1531 r. stworzyli spółkę architektoniczno-rzeźbiarską, a jednym z ich pierwszych zamówień mógł być opatowski nagrobek Krzysztofa Szydłowieckiego.

Porównując inne nagrobki z tamtego okresu przekonujemy się, że to Bernardino był ich głównym twórcą. Podobny jest nagrobek Stanisława Lasockiego w Brzezinach (a był to mąż Zofii Szydłowieckiej, bratanicy Krzysztofa – córki Jakuba), a także Olbrachta Gasztołda oraz ostatnich książąt mazowieckich, braci Stanisława i Janusza.

Właśnie udokumentowana źródłowo płyta nagrobna Lasockiego pozwoliła przypisać główne autorstwo Bernardinowi. Spółka pod jego kierownictwem miała pełne ręce roboty i wielki zasięg, budując np. Willę Decjusza pod Krakowem, jak również budowle i nagrobki w Wilnie.

Całość ozdobnego obramowania pomnika wraz ze słynnym reliefem – „Lamentem Opatowskim” to również dzieło włoskich artystów. Putta nawiązują do dekoracji wawelskich, można więc stwierdzić, że mamy w opatowskiej kolegiacie fragment Wawelu. Siedzą na delfinach, symbolizujących życie wieczne. Wprowadzają atmosferę renesansowej lekkości. Wybitnie pięknie skomponowane panoplie, czyli militarne dekoracje przywodzą na myśl znaki wojenne starożytnych Rzymian. Może to hołd dla słynnego hetmana, zwycięzcy spod Obertyna czyli Jana Amora Tarnowskiego i nawiązanie do jego triumfów? Czysto

toskańskie elementy dekoracyjne wskazują na mistrza w ich wykonaniu, czyli Jana Cini ze Sieny.

Lecz najbardziej zagadkowy jest „Lament Opatowski”. Przedstawiający rozpacz po śmierci kanclerza ma źródła w sztuce średniowiecznej Zachodu. Obrzędy pogrzebowe, pochody, kondukty, z osobami rozpaczającymi (w sposób naturalny lub „zawodowy” – tzw. płaczki, z fr. *pleurants*) były uwieczniane na sarkofagach, nagrobkach dostojników francuskich, hiszpańskich czy włoskich już w XII w. Najbardziej zbliżonym wzorem, a raczej inspiracją dla wykonawców opatowskiego reliefu jest dzieło Andrei del Verrocchio lub jego warsztatu z końca XV w. Chodzi o dzieło, przedstawiające śmierć włoskiej szlachcianki Franceski Tornabuoni (zmarła tuż po porodzie) i reakcję jej męża na wieść, że Francesca nie żyje, ale urodził mu się syn. Mistrz włoskiego renesansu wyraził tu wielkie emocje, ale i w „Lamencie Opatowskim” ich nie brakuje. Nie czas na szczegółowe omawianie treści, gdyż ich bogactwo wymagałoby osobnego potraktowania. To plastyczne nawiązanie do słów inskrypcji z nagrobka: „pozostawiając w żalu i płaczu żonę, dzieci, słodkich i wiernych przyjaciół”. Nowatorstwo treści Lamentu polega na przedstawieniu rozpacz wszystkich stanów, co symbolizują różnorodne ubiory. Mamy polskich szlachciców i dworzan, typy sarmackie, słowiańskie twarze, jak i typy obce, zapewne włoskie, od których przecież roило się wówczas na krakowskim dworze. Stroje są zarówno antykizujące, jak i renesansowe, a także XV - wieczne włoskie. Nakrycia głowy to włoskie berety, ale i wschodnie kołpaki. Po śmierci kanclerza rozpaczają mają nie tylko wszystkie stany, ale i narody. To jest nowość, gdyż zazwyczaj w takich scenach ukazywano rozpacz dworzan, ludzi bezpośrednio związanych ze

zmarłym. Z różnorodnych interpretacji warto przytoczyć tę, która mówi, że jest to scena fikcyjna, teatralnie zaaranżowana, wystylizowana na dramat antyczny, gdzie aktorzy są ubrani w kostiumy, także starożytne.

„Lament” właściwie od zawsze budził szczególne zainteresowanie oglądających. Rysował go z detalami Jan Feliks Piwarski, opisywała Jadwiga Łuszczewska, czyli Deotyma. Warto też zauważyć, że na reliefie najprawdopodobniej pojawił się portret fundatora, czyli Jana Tarnowskiego, a obok niego króla Zygmunta Starego oraz najbliższego przyjaciela i współpracownika Krzysztofa Szydłowieckiego, biskupa Piotra Tomickiego.

Bernardino de Gianotis jest również uznawany za autora płyty nagrobnej Anny Szydłowieckiej, zmarłej w 1536 r. w wieku 14 lat córki kanclerza. To zachowany fragment, na szczęście główny nagrobek, który jeszcze do niedawna tworzył całość z pomnikiem Ludwika Mikołaja.

Nagrobki Szydłowieckich w roku 2007 zostały bowiem poddane renowacji i przywrócono im układ, być może zbliżony do pierwotnego. Konsultantem w tej sprawie był historyk sztuki z Uniwersytetu Warszawskiego, dr Michał Wardzyński.

Zlikwidowano wówczas ich piętrowe ułożenie. Wiadomo przecież, że przybywały one stopniowo i pierwotnie mogły mieć inny układ, a także architektoniczne obramowania, zgodnie z ideą łuku triumfalnego, stanowiącego symboliczne przejście do innego świata.

Pomniki nagrobne z Opatowa – również te, znajdujące się w klasztorze OO. Bernardynów - ukazują bogate formy upamiętniania zmarłych, jakie wytworzyła kultura staropolska. Dążenie do zaznaczenia swojego pobytu na ziemi, tęsknota człowieka za nieśmiertelnością znalazły w nich swój piękny artystyczny

wyraz. Nawiązując do tegorocznego tematu Europejskich Dni Dziedzictwa trzeba stwierdzić, że również w nich ten artystyczny duch, pozwalający człowiekowi tworzyć spotkał się z przestrzenią – zdomowił się w opatowskich świątyniach i jest obecny wśród nas.



Autor tekstu jest mieszkańcem Opatowa, publicystą, regionalistą, członkiem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Opatowskiej. We wrześniu 2016 r. reprezentował Opatów w dużym, corocznym wydarzeniu kulturalnym, jakim są Europejskie Dni Dziedzictwa. Kolejna ich edycja w Polsce odbyła się pod hasłem – „Gdzie duch spotyka się z przestrzenią – świątynie, arcydzieła, pomniki”.

Zbigniew Zybała przedstawił temat: „W kamieniu i spiżu utrwalone. Nagrobki w Kolegiacie p.w. św. Marcina z Tours i epitafia w Klasztorze OO. Bernardynów w Opatowie jako elementy kultury staropolskiej”. Powyższy artykuł jest fragmentem wykładu, wygłoszonego 16 września 2016 r. w opatowskiej Bibliotece Pedagogicznej w ramach EDD.

Subiektywna historia

Pierwsze wzmianki dotyczące działalności I Środowiskowej Drużyny Starszoharcerskiej im. Bartosza Głowackiego pochodzą z 7 marca 1987 r., kiedy to druh Jacek Kowalik założył drużynę nie objętą strukturami bezpośrednimi przez Komendę Hufca Opatów.

Początkowo działania drużyny nie spotkały się z aprobatą władz ani harcerskich ani szkolnych. Pamiętajmy, że były to czasy przemian politycznych i każde działanie wykraczające poza ówczesne ramy postrzegane były jak zamach na władzę. Tak naprawdę to nikt nie wiedział co ma zrobić z tą grupką zapaleńców, których głowy były pełne ideałów i niespożytej energii. Ważnym czynnikiem była odpowiedzialność prawna za bezpieczeństwo młodzieży. Harcerze spotykali się na zbiórkach w harcówce, którą stworzono w piwnicy bloku przy ulicy 16 stycznia.

We wrześniu 1988 r. drużynowym został Jakub Gdowski, który prowadził ją z zaangażowaniem do grudnia 1989 kiedy to objął funkcję Komendanta Szczepu Środowiskowych Drużyn Starszoharcerskich „Widmo”.

Drużynowym I ŚDSH został Tomasz Kucharski.

Skład I Środowiskowej Drużyny Starszoharcerskiej w okresie jej działalności:

Jacek Kowalik, Bożena Kaczmarska, Anna Banasińska, Iwona Wilczak, Renata Klimas, Marzena Kaczewska, Mariusz

Nowak, Krzysztof Grzyb, Agata Borek, Magdalena Galicka, Katarzyna Gdowska, Piotr Sajda, Joanna Wojtycha, Anna Jurkiewicz, Beata Spernal, Agnieszka Machula, Tomasz Półtorak, Robert Różalski, Katarzyna Żurek, Marek Frejlich, Krzysztof Frejlich, Tomasz Kucharski, Agnieszka Skrajnik, Jakub Gdowski, Violetta Rolka, Magdalena Klusek, Iweta Futet

II Środowiskowa Drużyna

Starszoharcerska powstała w zasadzie w tym samym czasie, okres wiosny 1987 roku był czasem tworzenia jej struktur. 14 maja 1988 drużyna przyjęła imię Kazimierza Wróblewskiego. Harcówkę stworzono w piwnicach bloku przy ulicy Kopernika. Początkowo opiekę nad harcerzami sprawowali Andrzej Żychowski, następnie Jacek Gorazd i ostatecznie Dariusz Urban czyli „Loczek”. Dzięki jego ogromnej pasji i zaangażowaniu drużyna ta istniała do końca lat 90-tych.

Członkami drużyny byli m. in:

Bracia Urbanowie czyli Wiesław, Darek, Zbigniew, Grzegorz Szymczyk, Magdalena Krupa, Piotr Krupa, Robert Gubernat, Radosław Kapsa, Piotr Kolasa, Agnieszka Gadowska, Beata Kozub, Agata Gawęda, Sylwia Skowron, Magdalena Bartkiewicz, Justyna Chrapek, Jacek Chrapek, Jacek Łebek, Justyna Borek, Alek Borek, Łukasz Gdowski, Robert Gębka, Lidka Kula, Marta Zielińska, Anna Dąbrowska, Beata Stajniak, Agnieszka Fojt, Artur Łaskawiec, Michał Mazur, Grzegorz Kaczorowski, Damian Kaczorowski, Emilia Bańcer,



Małgorzata Kwiatek, Piotr Zając, Sebastian Głowacki, Jolanta Kacała, Mariusz Wójcik.

Po stworzeniu Szczepu „Widmo” obie drużyny połączyły swoje zadania i działania. Bardzo często druhowie działali wspólnie, brak było rywalizacji a pojawiła się współpraca i tak naprawdę po wielu latach zaciera się informacja kto należał do której drużyny. Szczep prowadził bardzo ożywioną działalność

harcerską. Organizował biwaki na których prowadzono zajęcia z samarytanki, terenoznawstwa, pionierki itp., wyjeżdżał na akcję „Bieszczady 40” do bazy Chorągwi Tarnobrzeg w Olchowcu. Harcerze wspólnie obchodzili imieniny, święta państwowe ale także religijne jak choćby wigilię czy uczestniczyli w pielgrzymkach. W 1988 r. wzięli udział w Ogólnopolskim Zjeździe Harcerstwa Polskiego „Grunwald”. Jeździli po całej Polsce na różne akcje harcerskie. Współpracowali z domami dziecka, brali udział w akcjach mających na celu rozbudzić w młodych ludziach patriotyzm i odpowiedzialność. W tym okresie zawiązywały się wieloletnie przyjaźnie, które do dziś są pielęgnowane. Z drużyn środowiskowych wywodzi się też kilka harcerskich małżeństw.

Kilku z ówczesnych druhow zamieniło mundur harcerski na inny np. Jacek Kowalik – oficer JW „GROM”, Dariusz Urban – strażak, Alek Borek – policjant, kilku pracuje jako prawnicy, spora grupa jako nauczyciele kontynuuje pracę z dziećmi i młodzieżą. Bez względu na to co robimy w obecnym życiu wspomnienia tamtych czasów tworzą więź, której nikt nie jest w stanie zerwać. Harcerstwo zostawiło w nas moc wspólnoty, chęć działania, wiarę w swoje możliwości. Mieliśmy po kilkanaście lat i sami organizowaliśmy sobie obozy i biwaki, nikt nie zmuszał nas do spotkań na zbiórkach. Chcieliśmy być ze sobą. Niewątpliwie mundur harcerski, który otaczaliśmy wręcz nabożną czcią do dziś wzbudza zaufanie i sympatię ale teraz młodym ludziom jest trochę trudniej, są inne cele i inne priorytety.

Pokolenie Szczepu „Widmo” tęsknie patrzy na minione czasy. Dziś jesteśmy statecznymi 40 latkami, którzy jeszcze w duszy słyszą harcerskie piosenki przy ognisku.....

„choć lata młode płyną wiemy, że nie starzejemy się”



Koniec wojny 1918 w relacji A. Lipińskiego

W ostatnich dniach października 1918 r. rozpoczęło się postępujące w szybkim tempie wyzwolenie ziem polskich spod okupacji zaborców, a zarazem zaczął się długotrwały proces odbudowy Państwa Polskiego. Akcja usuwania okupantów austriackich z ziem na lewym brzegu Wisły przebiegała w sposób znacznie sprawniejszy niż np. z terenów pobliskiej Lubelszczyzny. Dodatkowym czynnikiem ułatwiającym to zadanie był fakt, że siły polskie na tym obszarze były o wiele liczniejsze, natomiast wojska okupacyjne składały się w przeważającej części z jednostek tyłowych.

Mimo wielu podobieństw wyzwolenie każdej miejscowości nabierało indywidualnych i niepowtarzalnych cech¹. Dla przykładu, w położonym niedaleko Opatowa Sandomierzu, decyzja o rozbrojeniu wojsk okupacyjnych podjęta została podczas konspiracyjnego zebrania, które odbyło się 2 listopada 1918 r. w mieszkaniu sędziego śledczego dr Stanisława Orskiego². Rozbrojenie odbyło się w ten sposób, że Polacy - oficerowie i żołnierze z poszczególnych oddziałów wojskowych stacjonujących w Sandomierzu, a mianowicie z 11 Batalionu Saperów i z batalionu etapowego, odebrali w swoich jednostkach broń Austriakom. Pomagali im w tym członkowie miejscowej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Przejęcia broni dokonano bez rozlewu krwi, a zdobyte uzbrojenie złożono w Gimnazjum Męskim. Ostatnim aktem było rozbrojenie samego Komendanta Powiatowego płk Schalera oraz c. i k.

Komendy Powiatowej i posterunku żandarmerii austriackiej.

Komendę Powiatową rozbrojono po otoczeniu jej gmachu przez członków POW. Delegacja złożona z byłego Komendanta Cywilnego Starostwa Edwarda Bogdańskiego, jego zastępcy Stanisława Brzezickiego oraz dr Stanisława Krawczyńskiego i ppor. Orskiego udała się do płk Schalera z żądaniem oddania władzy na piśmie, co tenże bez większego oporu wykonał. Z kolei ta sama delegacja udała się do komendanta posterunku żandarmerii, który dobrowolnie wraz ze swoim oddziałem złożył broń. Magazyn z bronią umieszczony był na zamku sandomierskim. Znajdowało się tam również więzienie. Gmach ten rozbroił, a następnie objął nad nim komendę Wincenty Wyrzykowski. W ciągu nocy z 2 na 3 listopada rozbrojeni żołnierze opuścili Sandomierz, zaś oficerowie austriaccy narodowości niemieckiej i czeskiej oddali broń z rana 3 listopada³.

Inaczej nieco wyglądała sytuacja w Opatowie. Dla okupantów było to miasto o znacznie mniejszym znaczeniu strategicznym, politycznym i gospodarczym niż Sandomierz. W Opatowie nie było większych, zwartych oddziałów armii austriacko-węgierskiej, a jedynie niewielka liczebnie c. i k. Komenda Obwodu, podzielona na oddział wojskowy i administracyjny. Funkcję Komendanta pełnił generał major Walerian Fehmel. Komendzie Obwodu podlegały także Wojskowe Komendy Stacyjne w Opatowie i Ostrowcu Św., jak również Komenda Obwodowa

Żandarmerii z 24 posterunkami⁴.

Po stronie polskiej działał wówczas w Opatowie, podobnie jak w Sandomierzu, oddział POW, podlegający organizacyjnie Komendzie Okręgu VII Radom. W Opatowie istniał Obwód 3 z komendami lokalnymi w Podolu, Włostowie, Iwaniskach i Lisowie. Od 15 marca do listopada 1918 r. funkcję Komendanta Obwodu pełnił Stanisław Rymśa - Gawroński⁵. Obwód opatowski, podobnie jak i sąsiedni Obwód 4 w Ostrowcu Św., był co należy podkreślić, dobrze zorganizowany⁶.

Rozkład okupacji austriackiej, trwającej na ziemiach Królestwa Polskiego od ponad trzech lat, nasilał się coraz bardziej wraz z narastającą falą protestów ze strony ludności cywilnej, zmuszonej ponosić koszty przedłużających się działań wojennych. I ten właśnie okres, w zasadzie jego kulminacyjny moment, jakże ważny i dramatyczny w dziejach zarówno Opatowa, jak i całej Polski opisuje w swojej relacji Adam Lipiński. Warto zaznaczyć, że zaledwie parę dni po opisywanych w niej wydarzeniach przybył z Magdeburga do Warszawy Józef Piłsudski, w którego rękach znalazła się władza przejęta formalnie od Rady Regencyjnej. Wydarzenie to przyjmowane jest za początek niepodległości II Rzeczypospolitej.

Kim był autor zamieszczonej niżej relacji? Odpowiedź na to pytanie jest dość trudna ze względu na odległy czas oraz szczupłość źródeł i materiałów informacyjnych. Jak pisze w swoim pamiętniku Józef Malczyk, działacz POW w Ostrowcu Św., Adam Lipiński miał pełnić funkcję Komendanta POW w Opatowie⁷. W świetle treści relacji oraz na podstawie przytaczanego wcześniej opracowania poświęconego historii Okręgu VII POW, informacja ta wydaje się błędna. Sam autor nie wspomina o pełnieniu przez siebie takiej funkcji. Co więcej, odnieść można nawet

wrażenie, że nie był on w ogóle członkiem POW, a do rozgrywających się wydarzeń przyłączył się spontanicznie. Zastanawiające jest jednak, dlaczego to właśnie do A. Lipińskiego zwrócono się o sporządzenie tak ważnych z punktu widzenia historycznego wspomnień. Tym bardziej, że w czasie gdy one powstały żyło i mieszkało w Opatowie wielu członków POW, głównych uczestników tamtych wydarzeń.

Jak pisze sam autor, był on członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, prawdopodobnie Frakcji Rewolucyjnej. Wyjaśnia to jego obecność przy rozbrajaniu okupantów. Członkowie PPS czynnie wspomagali POW w tej akcji na terenie Opatowa⁸. Od 1919 r. A. Lipiński pracował w samorządzie powiatowym, a od 1 maja 1924 r. pełnił funkcję sekretarza Wydziału Powiatowego Urzędu Gminy Opatów. Należał do utworzonego w 1927 r. Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Pełniąc funkcje publiczne, mimo wielu nacisków ze strony ówczesnych czynników politycznych, potrafił zachować postawę godną urzędnika państwowego⁹. Z zebranych informacji wynika również, że był to człowiek stosunkowo zamożny i szanowany przez mieszkańców Opatowa. Zamieszkiwał w istniejącym do dnia dzisiejszego budynku przy Placu Wilsona 2 (obecnie Plac Obrońców Pokoju - budynek dawnej poczty).

Publikowany tekst jest prawdopodobnie jedyną relacją z wydarzeń, które miały miejsce w Opatowie w pierwszych dniach listopada 1918 r. Powstał on w wyniku odpowiedzi na rozpisaną w 1936 r. przez dr Kaliksta Morawskiego, pod auspicjami Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie, ankietę dotyczącą likwidacji okupacji austriackiej w Polsce w 1918 r.

Relacja ta została napisana w Opatowie 26 stycznia 1937 r., a więc ponad 18 lat po opisywanych w niej wydarzeniach.

Ze względu na swoją unikalność jest jednak cennym źródłem do poznania dziejów Opatowa u zarania niepodległości Polski. Ma ona formę rękopisu o objętości 4 kart (8 stron). Obecnie przechowywana jest w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie i nosi sygnaturę I.400.3007,poz. 6. Odbitka kserograficzna znajduje się w dziale regionalnym Biblioteki Pedagogicznej w Opatowie. W publikowanej relacji zachowano pisownię i interpunkcję oryginału.

„Opatów, dn. 26 stycznia 1937r.

Adam Lipiński
Pl. Wilsona Nr 2

Do
Archiwum Wojskowego w Warszawie
Fort Legionów, ul. Zakroczyńska

Sprawozdanie o likwidacji okupacji austriackiej.

Rozbrojenie okupantów odbyło się w Opatowie w dniu 2 czy 3 listopada, w niedzielę 1918r.¹⁰, jako członek P.P.S. narówni z kilku innymi brałem czynny udział w tej akcji. Z bardziej charakterystycznych momentów utkwiły mi w pamięci następujące:

Około godz. 8 rano zebrani na rynku b. urzędnicy austriaccy, Polacy, przygotowywali się do jakiejś uroczystości. Ja w tym czasie wezwany zostałem przez towarzyszy do sali Rady Miejskiej, gdzie radni i inni obywatele mieli obradować nad pewnymi ważnymi. Aktualnymi sprawami. W tym na salę obrad wszedł burmistrz ob. Adam Musielski, mocno podniecony, ze słowami: „wy tu radzicie” - czy też - „macie zamiar obradować, a tam na rynku przygotowują się do przysięgi na wierność Radzie Regencyjnej”. Wezwał następnie wszystkich do wyjścia na ulicę, zaznaczając, że obradować nie trzeba, czy też nie ma potrzeby.

Wszyscy zebrani razem z burmistrzem ob. Musielskim wyszli. Przechodząc około więzienia¹¹ spostrzegłem, że jeden z członków P.O.W. odbiera spokojnie karabin od żołnierza, stojącego na warcie, i stawia drugiego Peowiaka na jego miejscu. Zrozumieliśmy zaraz, że rozbrajanie okupantów się rozpoczęło.

Na rynku urzędników austriackich już nie było, natomiast wszędzie widać było członków P.O.W. z karabinami. Rozbrajanie w mieście musiało być bardzo szybko i składnie przeprowadzone, gdyż - jak mówiono naokoło - Austriacy w mieście są już rozbrojeni. Zdaje się, że komenda stacyjna, tzw. Stationskommando, czyniła jakieś trudności, ale w parę chwil i tu był porządek, i nic dla nas nie było już do czynienia.

Natomiast rzucił ktoś hasło: Trzeba do monopolu¹² - tam żandarmi nie chcą oddać broni. Broni nie miałem - mój towarzysz po drodze wstąpił do mieszkania po rewolwer, i poszliśmy pod Monopol. Tu zastaliśmy oddział P.O.W. z karabinami w rękach. Przed zamkniętą żelazną bramą żandarm uzbrojony wzbrania wstępu do wewnątrz. Nie mam rozkazu - mówi - nie mogę wpuścić, proszę zaczekać.

Wobec obronnej postawy żandarmów i będąc pewnym, że rozbrojone władze w mieście napewno nie każą żandarmom bronić się - komendant oddziału P.O.W. rozkazał prawdopodobnie zaczekać, gdyż oddział stał spokojnie z bronią w ręku.

Po pewnym czasie żandarm bramę otworzył, a oddział P.O.W. wkroczył na podwórze, ja z towarzyszami również. Tu znajdowało się szereg urzędów, między innymi kasa i magazyny. Otrzymałem karabin i postawiono mnie na warcie koło kasy, gdzie funkcję tę sprawowałem przez 4 godziny. Następnie zostałem zluźowany i udałem się do domu.

Pamiętam, że już był wieczór, ciemno.

Nazajutrz otrzymałem już od władz polskich wezwanie, bym, przyjął udział w przejmowaniu magazynów zbożowych i młynów. Czynność tę powierzono mi dlatego, że pracowałem przed tym w aprowizacji, w t. zw. Polskiej Centrali Zbożowej. Z przejęcia majątku w dziale, jak również w innych, co dokonywane było komisyjnie, sporządzone zostały protokoły, które złożono władzom powiatowym.

Jeśli idzie o stan moralny oddziałów wojskowych w Opatowie, nielicznych zresztą w tak małym mieście - mogę stwierdzić tylko, że każdy z żołnierzy chętnie oddawał karabin i pragnął jak najprędzej odjechać do domu. Pamiętam wesołe miny Czechów na samochodach ciężarowych, zaopatrzonych w napisy kredą: „Do Złatej Prahi”¹³. Odjeżdżali ze śpiewem i wesołymi i przyjaznymi okrzykami.

Zdawało mi się, że żandarmi trzymali się do ostatniej chwili mocno, jak można było zresztą sądzić z ich zachowania podczas zjawienia się oddziału P.O.W. „Nie wpuścimy bez rozkazu”. Wrażenie było takie, że gotowi byli się bronić. Chociaż nie wiadomo, jakby to było, gdyby komendant oddziału P.O.W. wydał rozkaz: „Ognia !” Co do stanu materialnego wojska i władz austriackich, bliższych wiadomości nie miałem, wiem tylko, że pewne zapasy żywnościowe i inne środki, jak również pieniądze pozostawili. Te dane zawarte zostały w protokołach przejęcia, o których wyżej wspomniałem. Gdzie te dokumenty obecnie się znajdują - nie wiem. Myślę, że Starostwo winno je, lub też posiadać przynajmniej wiadomości o miejscu ich przechowywania.

Ja nie posiadam niestety żadnych akt, fotografii, ani notatek. To sprawozdanie piszę z pamięci, i obawiam się, czy dość wiernie przedstawiłem przebieg całej akcji. W każdym razie główne momenty są zgodne z rzeczywistością, a mogą być pewne nieścisłości lub braki w szczegółach.

Adam Lipiński”

1. T. Nałęcz, Polska Organizacja Wojskowa 1914-1918, Warszawa 1984, s. 212.

2. Dr Stanisław Orski - ur. 28.04. 1881 r., w okresie międzywojennym pełnił funkcję sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi, pracował w Wojskowym Sądzie Okręgowym nr 1. Następnie, w stopniu płk był prokuratorem przy Naczelnym Sądzie Wojskowym.

3. Pismo starosty powiatowego sandomierskiego do Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie z 1 marca 1937 r., Centralne Archiwum Wojskowe (dalej CAW), I.400.3007, poz.39. Więcej na temat działalności POW w Sandomierzu zob. J. Woyno, Z dziejów sandomierskiego obwodu Polskiej Organizacji Wojskowej (1915-1918), „Zeszyty Sandomierskie” 2000, nr 12, s. 31-37.

4. Kalendarz Opatowski na rok 1918, Kraków 1917, s.42-43, 47.

5. J. Bartkowski, Radomski Okręg P.O.W., „Żołnierz Legionów i P.O.W.” 1938, nr 3, s. 69.

6. J. Woyno, Polska Organizacja Wojskowa w Ostrowcu (1915-1918), „Rocznik Muzealny” Tom II, 1999, s. 18.

7. Pamiętnik J. Malczyka z Ćmielowa, CAW, I.400.2024, poz. 33.

8. F. Faliszewski, Echo Ziemi Opatowskiej. Szkic monograficzno-wspomnieniowy z dziejów powiatu opatowskiego, Warszawa 1968, s. 93.

9. Tamże, s. 152-153. Pismo starosty powiatu opatowskiego do Centralnego Archiwum Wojskowego z dnia 21 grudnia 1936 r., CAW, I. 400.3007, poz. 33.

10. Wydarzenia miały miejsce w niedzielę 3 listopada. Potwierdzenie tej daty znajdujemy w: S. Kotarski, Opatów. Jego dzieje i zabytki, Opatów 1932, s. 41.

11. Budynek dawnego więzienia w Opatowie, obecnie ulica Słowackiego 1.

12. Chodzi o zabudowanie dawnego rosyjskiego monopolu spirytusowego przy obecnej ulicy Ćmielowskiej. Mieści się w nich dzisiaj Rejon Dróg Publicznych.

13. W zbiorach Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Św., które m. in. gromadzi eksponaty z terenów dawnego powiatu opatowskiego zachowało się zdjęcie z listopada 1918 r. przedstawiające czeskich żołnierzy na samochodzie z takim właśnie napisem. Być może przedstawia ono sytuację opisaną przez A. Lipińskiego.

„Nurt” Zapomniany bohater

To było ponad trzydzieści lat temu. Poszliśmy na rajd w Góry Świętokrzyskie. Pierwszy odcinek wiódł przez kompleks Lasów Siekierzyńskich. Pamiętam swoje zauroczenie- piękny, majowy dzień, leśny dukt, wysokie strzeliste jodły i gdzieś-niegdzie rozrzucone groby. Wcześniej bywałam na partyzanckich szlakach ale w Lasach Janowskich i nijak mi „leśni chłopcy” do tego terenu nie pasowali. A tu zaczęły powtarzać się dwa pseudonimy, z których zapamiętałam nie „Ponurego”, lecz „Nurta”.

Urodził się 22 sierpnia 1909 roku w Łodzi w rodzinie nauczyciela gimnazjum. W młodości wołano na niego Gedek lub Gedymin. Uprawiał gimnastykę i pięciobój. „Był niezwykle sprawny fizycznie. Czołgał się doprawdy jak wąż, przesuwając się bezgłośnie po leśnej ściółce na łokciach trzymając przed sobą karabin, cicho i szybko. Pokazywał nam różne sposoby strzelania, wyciągał pistolet z tyłu, zza paska na plecach, z kieszeni w spodniach, z marynarki” - wspominał po latach jeden z jego podkomendnych. W 1931 r. zdał maturę. Ukończył Szkołę podchorążych Piechoty Rezerwy nr 2 w Biedrusku pod Poznaniem. Otrzymał przydział do 31 Pułku Strzelców Kaniowskich w Łodzi.

1 stycznia 1935 r. dostał awans do stopnia podporucznika. W 1937 r. został członkiem Związku Strzeleckiego. Był instruktorem Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego

oraz oficerem kontraktowym w 49 pułku piechoty Strzelców Huculskich w Kołomyi. Pracował w Horodence jako instruktor, komendant powiatowy Przysposobienia Wojskowego. Wrzesień 1939 roku zastał ppor. Kaszyńskiego w Batalionie Obrony Narodowej „Stryj”. Razem z batalionem został internowany na Węgrzech. Później jego udziałem był los tysięcy polskich żołnierzy-ucieczka, walki we Francji (8 Pułk Piechoty 3 Dywizji Piechoty), klęska i pobyt w Anglii. Najpierw w 4 Brygadzie am oddał ponad 100 skoków ze spadochronem. Na kursie poznał i zaprzyjaźnił się z Waldemarem Mariuszem Szwiecem „Robotem” - ich losy będą odąd nierozzerwalnie związane. W Anglii poznał także ppor. Jana Piwnika- swojego późniejszego dowódcę. 24 sierpnia 1942 roku został zaprzysiężony na rotę Armii Krajowej. 2 października tego roku skoczył do Kraju na lądowisko „Rak” 11 km na południe od Siedlec. Cichociemni mieli w zwyczaju, że lądując w Polsce całowali ziemię. „Nurt” wylądował na..kupce gnoju. Przyrzeczenia o ile mi wiadomo- dotrzymał.(a może to tylko legenda?)Po okresie adaptacyjnym otrzymał przydział do Komendy Okręgu Radom-Kielce na stanowisko zastępcy dowódcy Kedywu do spraw wyszkolenia. Pod koniec 1942 roku przyjechał razem z „Robotem” w Góry Świętokrzyskie. 26 lutego 1943 roku miała miejsce wielokrotnie opisywana akcja na Baranowskiej Górze będąca

preludium do działalności późniejszych Zgrupowań Partyzanckich AK. Wiosna 1943 roku przyniosła przyjaciółom zmianę przydziału. Mieli podporządkować się „Ponuremu”. Jeszcze przeprowadzają w nocy z 2 na 3 lipca akcję pod Łączną i Jędrawem (Berezowem) (jednocześnie).

A już „Ponury” ściąga ich na Wykus. 8 sierpnia 1943 roku „Nurt” został dowódcą Zgrupowania nr.1 Świętokrzyskich Zgrupowań Partyzanckich (215 ludzi , trzy plutony). Miejscem obozowania oddziału były Lasy Siekierzyńskie i polana Wykus. Jednocześnie był zastępcą „Ponurego”.

Wynotowałam kilka opinii-wspomnień o Nim z czasów, gdy obejmował dowództwo :

„Wysoki, barczysty z głową osadzoną na potężnym karku, włosy zaczesane do góry nosił obcięte równo. Miał „dobre”, łagodne spojrzenie. Był bardzo stanowczy i odważny. Nosił marynarkę w stylu angielskim, zawsze rozpięty kołnierzyk u kośzuli.”

„Ten byle jak ubrany , małomówny cywil nie zwracający uwagi otoczenia-mimo więcej niż średniego wzrostu - z empikiem w rękę okazał się groźnym przeciwnikiem dla wroga i dowódcą stanowczym, spokojnie egzekwującym w warunkach zagrożenia obowiązki podwładnych”

„Nigdy nie było dla niego sytuacji bez wyjścia, nigdy się nie skarżył. Lubił żołnierzy i chętnie z nimi rozmawiał. Dowcipkował, opowiadał kawały ale się nie podlizywał żołnierzom. W jego obecności człowiek czuł się dobrze. Sam nosił amunicję , nie lubił sztuczności. „Nurt” był spokojniejszy, mniej ambitny od „Ponurego”. Miał taki gest :trącał się palcem wskazującym w nos i mówił: Okey, cieszę się. Tępił strasznie złodziejstwo i bandytyzm. Unikał ofiar, był bardzo rozważny w walce. Budził zaufanie. Pomagał ludziom jak mógł,

dawał zapomogi , opiekował się. Dużo rozmawiał indywidualnie z żołnierzami. Jego pomysły, gdy trzeba było wyjść z obław to były majstersztyki.”

Tych obław było trzy: w lipcu , wrześniu i październiku. Pisano o nich wiele razy w książkach dotyczących partyzantki na Kielecczyźnie.

„Nurt” nie prowadził większych akcji bojowych-tępił bandytyzm, szkolił, aplikował swoim partyzantom wielokilometrowe marsze.

W zimie 1943/44 po karnym odwołaniu „Ponurego” został dowódcą Zgrupowań Partyzanckich „Ponury”- „Nurt”. Zgrupowanie jako oddział kadrowy było podporządkowane inspektorowi sandomierskiemu ppłk „Linowi”(Antoni Żółkiewski) a terenem jego działania był Inspektorat Sandomierski. Na przedwiośnie zajmował się zaopatrzeniem w broń i amunicję , rozpoczęto też produkcję KIS-ów. Na początku kwietnia „Nurt” kwaterował w Brzozowej pod Tarłowem, potem przeszedł w Góry Świętokrzyskie a w końcu miesiąca trafił w rejon Staszowa. Wiosną przeprowadzał akcje sabotażowe o charakterze gospodarczym oraz wykonywał wyroki sądu wojskowego. Awansował na kapitana. 5/6 czerwca 1944 jego oddział wysadził pod Mikułowicami pociąg a 30 czerwca 1944 patrol od „Nurta” zlikwidował Schultza – szefa gestapo w Opatowie. W lipcu 1944 kwaterował w Janowicach potem w Rytwianach i Bardzie a od 3 sierpnia we Wszachowie jako oddział dyspozycyjny ppłk „Lina”. Znaczna część terenu na południe od Pasma Jeleniowskiego i szosy Opatów – Łągów ok. 150km 2 znajdowała się pod kontrolą partyzantów „Nurta” jako tzw. Republika Wszachowska. Ok. 14 - 15 sierpnia 1944 oddział kadrowy został włączony do 2 pp.leg jako I batalion na co niechętnie zgodził się ppłk. „Lin”. W ramach Akcji „Zemsta” ruszyli na

pomoc walczącej Warszawie. Batalion walczył pod Dziebałtowie, Radoszycami, Miezierzą. Na początku października „Nurt” dowodził całym pułkiem. Przebywali w obwodzie Włoszczowa. Walczyli pod Lipnem i Chotowem. W listopadzie batalion znalazł się w bardzo ciężkim położeniu i „Nurt” zmuszony był do wysłania części oddziału w Góry Świętokrzyskie sam pozostając we Włoszczowskim. Awansował na majora.

„Mjr Nurt dowódca I batalionu (...) był jednym z najbardziej wybijających się oficerów pułku. Skoczek, „cichociemny”, opanowany w boju, dbał o żołnierzy, był najbardziej popularnym dowódcą w pułku (Piotr Sierant)”. W 1945 roku dowodził krótko oddziałem kadrowej organizacji „Nie” a potem I plutonem partyzanckim Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj w Kieleckiem. Zmuszony do ucieczki z kraju przez Czechosłowację i Włochy przedostał się do Wielkiej Brytanii. Początkowo zatrudniony był w wojsku. Odszedł po pierwszym ataku choroby (schizofrenia). Zamieszkał w Londynie, gdzie do śmierci ciężko pracował fizycznie lub przebywał w szpitalach. Trafił do Mabledonu. „Mabledon był szpitalem psychiatrycznym, miejscem, gdzie trafiali polscy żołnierze. Wszyscy Ci, którym zawiedzione nadzieje nie pozwalały już żyć”. Żył do końca w samotności, pogrążony we wspomnieniach i odizolowany od świata przez chorobę. Zmarł na zawał 24 marca 1976 roku.

W 1994 roku prochy mjr „Nurta” zostały sprowadzone do Polski i pochowane na Wykusie. Miałam zaszczyt wraz ze swoją drużyną harcerską uczestniczyć w tym pogrzebie...



O generale i opatowskich gimnazjalistach

Tuż po godzinie 14-tej, 16 lipca 1936 roku, w katastrofie lotniczej w Gdyni, zginął generał Gustaw Orlicz – Dreszer. Tego dnia zawijał do portu transatlantyk „Piłsudski”, na którego pokładzie wracała z Ameryki do Gdyni jego małżonka. Generał chciał w niecodzienny sposób powitać ją z powietrza. Samolot niespodziewanie runął do morza w pobliżu mola w Orłowie. Przyczyn katastrofy, w której wraz z generałem zginęło dwóch lotników, nie udało się ustalić. Ponad 60 lat później upamiętniono to zdarzenie tablicą pamiątkową na wielkim głazie przy nadmorskim deptaku.

Gen. Orlicz – Dreszer był wiernym druhem Józefa Piłsudskiego, aktywnie działał na rzecz rozwoju morskiej świadomości Polaków, na rzecz rozbudowy Gdyni – „okna na świat”. Od 1930 r. był prezesem Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ta społeczno-polityczna organizacja cieszyła się w 20 - leciu międzywojennym dużą popularnością i szerokim poparciem społeczeństwa. Niektóre kierunki działań Ligi spełniały pozytywną rolę (np. rozbudowa floty morskiej, portu i miasta Gdynia), ale generalna ocena Ligi musi być negatywna ze względu na propagowanie idei kolonizacyjnych (w tym m.in. osadnictwa ludności żydowskiej na pozyskanych terenach).

Jednym z bardziej spektakularnych pomysłów w 20 - leciu międzywojennym,

świadectwem polskich aspiracji kolonialnych, była operacja w Liberii, wówczas jedynym rdzennie afrykańskim, niepodległym państwie. Okolicznością sprzyjającą były ówczesne polityczne uwarunkowania i przychyłność afroamerykańskiego rządu liberyjskiego dla realizacji planów Ligi Morskiej i Kolonialnej. Operacja „liberyjska” oficjalnie miała charakter gospodarczy, nawiązanie stosunków handlowych, faktycznie miała doprowadzić do objęcia Liberii protektorem. Według wersji oficjalnej przewidywano sprzedaż polskich towarów na rynku afrykańskim i sprowadzanie atrakcyjnych dla rynku polskiego surowców oraz wydzierżawienie 50 – ciu plantatorom po 150 akrów ziemi na 50 lat, pod uprawę kauczuku, bawełny, ryżu, kawy, kakao. Podobno, (wg ustnej relacji naszego kuzyna, Pawła Dumani z Jałowej), kiedy o wszystkim dowiedział się schorowany już Marszałek Piłsudski, wezwał generała Dreszera do Belwederu i straszliwie go zbesztął, pomysł nazwał nikczemnym, przypomniał cenę jaką musiała zapłacić Polska za odzyskanie swej niepodległości. Los operacji „liberyjskiej” został przesądzony, a kilku plantatorów, którzy zadomowili się już na afrykańskiej ziemi, musiało wrócić do kraju.

Tragiczna śmierć generała Orlicz – Dreszera definitywnie zakończyła okres polskich mrzonek o zamorskich koloniach, zamknęła ten niezbyt chlubny epizod z historii Polski międzywojennej,

ale jego popularność w kraju wzrosła i przetrwała lata. Jego imieniem honorowano szkoły i ulice. Również w Ostrowcu Świętokrzyskim mała uliczka przy rynku (dawna Okólna) nosiła przez kilka lat jego imię.

Nie byłoby powodu aby wracać do tych odległych historii, gdyby nie sentymenty rodzinne autorów. Otóż kilku ich krewnych spod opatowskich wiosek przeszło niezwykle drogę awansu cywilizacyjnego i bezpośrednio uczestniczyło w historycznych zdarzeniach związanych z działalnością generała. Pochodzili z niezamożnych chłopskich rodzin, byli uczniami opatowskiego gimnazjum, wykazali się zdolnościami i uporem, które pozwoliły im pokonać dystans dzielący ich od elit ówczesnej Polski.

Wincenty Dumania (1898 - 1942) urodził się w Łęczycach, gdzie rodzice, Antoni i Janina z Curyłów, mieli gospodarstwo rolne. Rodzice dbali bardzo i pilnowali, żeby dzieci uczyły się. Pierworodny Janek kształcił się już na księdza, drugi syn, Antek, powołany został do carskiej armii i służył w oddziałach admirała Kołczaka, a Staś myślał o medycynie. Dorastającego Wicka musiało zauraczyć pisanie bardzo związanego z kielecczyną Stefana Żeromskiego o morzu, jego prorocza wizja portu i miasta Gdynia. Po wyczerpaniu się możliwości nauki na miejscu, znalazł się w Szkole Morskiej w Tczewie. Pomyślnie ukończył Wydział Mechaniczny i pływał na statkach handlowych jako starszy mechanik. W latach 1934/35 uczestniczył w wyprawie do Afryki Zachodniej na s/s Poznań, która była pierwszą próbą nawiązania przez Polskę stosunków handlowych z krajami afrykańskimi. Zdobyte doświadczenia miały otworzyć drogę do realizacji operacji „liberyjskiej”. Mimo kłopotów, bojkotu wielkich firm zachodnich obawiających się konkurencji,

blisko 2000 ton przywiezionych towarów (tekstylia, żelazo handlowe, naczynia emaliowane, mydło, cukier, konserwy itp.) udało się sprzedać na „zupełnie dogodnych warunkach”, więc swoje zadanie s/s Poznań wykonał. Wincenty Dumania w czasie wojny przebywał w Anglii, pływał cały czas na polskich statkach. Zmarł 17 listopada 1942 roku na statku s/s Lechistan w Garston koło Liverpoolu w wyniku nieszcześliwego wypadku. Położył się spać w kabinie, prawdopodobnie za wcześnie po przeprowadzonej fumigacji. Tam został pochowany, a na grobie w rodzinnym Opatowie widnieje tylko symboliczny napis o nim.

Paweł Dumania (1900 – 1992) był najmłodszym synem Andrzeja, właściciela gospodarstwa rolnego w Jałowesach. Był chłopcem pojętnym i ciekawym świata. Chodził najpierw do wiejskiej szkoły, a po otwarciu tam Włosciańskiego Gimnazjum, do Opatowa. Następnie ukończył szkołę rolniczą w Cieszyńcu. Pracował w szkolnictwie rolniczym m.in. w Wacynie i Podzamczu Chęcińskim. Był człowiekiem niezwykle prawym, pracowitym i komunikatywnym. Osobiście znał działaczy Ligi Morskiej i Kolonialnej (wspominał o Januszu Makarczyku, Kamili Giżyckim). Zapewne oni pomogli, że w latach 1936/1937 został na rok delegowany przez Ligę do Liberii. Cel tej wyprawy nie jest jasny, nigdy o tym nie mówił. Nie udało się odnaleźć jego nazwiska w dokumentach dotyczących operacji liberyjskiej. Wiadomo, że do Monrovii płynął niemieckim okrętem z Hamburga, często bolała go głowa bo serwowano tam w dużych ilościach, ale tylko szampana. W interiorze podróżował w lektyce, co bardzo go krępowało. Wspominał o częstych polowaniach w buszu. Przywiózł na pamiątkę korkowy hełm i laseczkę z rączką z kości słoniowej. Prawdopodobnym, prawdziwym jego

zadaniem w Liberii było likwidowanie magazynów zgromadzonej tam broni (nie tylko myśliwskiej, o której mowa w niektórych dokumentach), która mogła być potrzebna przy „obejmowaniu protektoratu”. Po wojnie pracował w Ministerstwie Rolnictwa w Warszawie, przez wiele lat był Naczelnikiem Wydziału Nasiennictwa. Zmarł w Warszawie i został pochowany na cmentarzu powązkowskim.

Wreszcie Józef Belczowski (1901 – 1969) i jego żona Genowefa (1906 – 1999) z domu Dumania znali się od dziecka, bo gospodarstwa rodziców w Łęczycach były prawie po sąsiedzku. Uczyli ich ci sami nauczyciele, w różnym tylko czasie, bo Józef był kilka lat starszy od Gieni. Oboje ukończyli gimnazjum w Opatowie, nawet na stacji mieszkali u tej samej pani Judyckiej. Potem na kilka lat losy ich się rozeszły. Józefa przyjęto do Szkoły Morskiej w Tczewie, gdzie ukończył Wydział Mechaniczny. Po odbyciu praktyk, pływaniu na statkach handlowych i awansach, w 1933 r. otrzymał dyplom mechanika pierwszej klasy, w tym samym roku pobrali się. W latach 1934/1935 przebywali w Trieście, gdzie Józef wchodził w skład ekipy nadzorującej budowę transatlantyku m/s Piłsudski w Stoczni Monfalcone, a po jego odbiorze pływał na nim na linii Gdynia – Nowy York. W sierpniu 1936 r. na pokładzie m/s Piłsudski wracała z Ameryki żona generała Dreszera, którą małżonek chciał powitać z powietrza, i prawdopodobnie pilotując maszynę, tragicznie zginął. Józef przeżył listopadzie 1939 r. zatonięcie statku, został uratowany przez marynarzy z okrętów brytyjskich. Podczas wojny przebywał w Anglii, pływał przewożąc transporty wojska i sprzętu. Po wojnie wrócił do kraju, pływał na m/s Batory, statkach handlowych, był inspektorem i dyrektorem technicznym w PLO. Zmarł w Gdyni i tam został pochowany.

Kilka lat temu podczas letnich wakacji jeden z autorów (M.S.) znalazł się w małej miejscowości Jadów, na wschodnim Mazowszu. Zauważył, że dawny rynek, zamieniony teraz na park, nosi nazwę Pl. Gustawa Orlicz - Dreszera. Od miejscowych dowiedział się, że w Jadowie urodził się generał i stoi jeszcze piętrowy, murowany dom w którym przyszedł na świat, następnie mieszkał przez kilkanaście lat (w lewej części, prawdopodobnie na piętrze), chodził do szkoły. Według relacji mieszkańców Jadowa, jeszcze w latach 30. ub.w. żyła tam pani do której mówiono „pani Dreszerowa”. Sprawdził, że w aktualnej ewidencji gminy Jadów nazwisko to nie figuruje.

Mieszkańcy Jadowa i lokalne władze pamiętają o generale. Z ich inicjatywy wykonane zostało drewniane popiersie generała, które stanie przy jednej z alejek pięknego parku, który wyrósł w miejscu dawnego targowiska.



PODZIĘKOWANIE
ZARZĄD TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZIEMI
OPATOWSKIEJ SERDECZNIE DZIĘKUJE ZA WSPARCIE PRZY
REALIZACJI ZADAŃ STATUTOWYCH TOWARZYSTWA:

PANU STANISŁAWOWI MALINOWSKIEMU WŁAŚCICIELOWI
PRZEDSIĘBIORSTWA ZBOŻOWO - HANDLOWEGO
w OPATOWIE,
PANU MIECZYSŁAWOWI STAŃKOWI WŁAŚCICIELOWI FIRMY
HANDLOWO USŁUGOWEJ w OPATOWIE,

GMINNEJ KOMISJI DO SPRAW ROZWIĄZYWANIA
PROBLEMÓW ALKOHOLOWYCH
ORAZ
ZARZĄDOWI PRZEDSIĘBIORSTWA GOSPODARKI
KOMUNALNEJ I MIESZKANIOWEJ SP. z o. o. w OPATOWIE.



Wspomnień czar

W 50 rocznicę Zubrzyckiego obozu organizujemy w Opatowie spotkanie byłych uczestników. Kameralne, niemal towarzyskie, bez oficjalnych zaproszeń i oficjalnych gości, bez programu, referatów i przemówień. Ot, koleżeńskie spotkanie. Tak, aby ucisnąć sobie dłonie, dyskretnie zerknąć po licach, jakie zmiany wyrysował nieubłagany czas, pogwarzyć w przyjacielskim kręgu, wieczorem przy ognisku, umówić się na następne rendez-vous. Była akurat wigilia Piotra i Pawła. Wyjeżdżałem do Opatowa z rodziną. Pogoda zamówiona już w kwietniu u niebieskiego meteorologa, kiedy po raz pierwszy się skrzyknęliśmy, dopisywała. Tej soboty, w owe czerwcowe, dnia 28-go przedpołudnie było piękne. A jak było i co się działo, opowiem.

Kiedy zboczyliśmy już w Opatowie z drogi głównej prowadzącej od Łagowa w znajome uliczki poculiśmy się jak w domu. Skręcamy w ulicę Słowackiego. Kiedyś była tu niemal wiejska droga, wyboista i błotnista. Dziś pokrywa ziemię wszechobecny asfalt. Wszędzie czysto, pięknie, domostwa zadbane i nie to co dawniej. I wreszcie ten numer, jednym znany, drugim przypominany, aby przypadkiem go nie ominąć. Numer „57”, dom państwa Gołąbków, obecnie wiejska, wypadowa dacza państwa Latusów.

Wjeżdżamy w bramę. Na chwilę zamykam powieki. I widzę się dzieckiem prowadzonym przez rodziców, potem już ja sam spaceruję ze swoim dzieckiem, to

samo czynią nasi znajomi itd. Zobaczyłem to co sam chciałem ujrzeć. W bramie małe harcerzyki trzymają wartę. Nad nimi zaś wielki transparent z napisem „Witajcie starszaki!”. A więc coś w rodzaju sztafety pokoleń. Otwieram oczy, przecieram powieki. A więc to była tylko zjawą, sen. Ale okazuje się, że nie wszystko było majakiem. Coś z nieistniejącego transparentu przeniosło się na fronton domu: „Witajcie!”. Jedno maleńkie słowo, a ileż w nim emocji, wzruszenia i uczuć. Witajcie! Witajcie w domu! Witajcie wśród swoich!

Otwierają się drzwi. Na podjazd wybiega kilka postaci. Jest Kazia, jest Staszka, Oleńka, Leszek. Wszyscy się witają, ściskają, całują. Jest naprawdę fajnie, rodzinnie. Ktoś z ganku rzuca pytanie: „Poznajesz mnie, jestem Ewa?” Ewa, Ewa, szukam w myśli, która to Ewa, wreszcie kiedy pada nazwisko jakaś klapka otwiera się w mojej mózgownicy i widzę już biały dom państwa Dominików, rodzinną siedzibę Ewy, dom który rzucał się w oczy każdemu sztubakowi idącemu do „budy”. U zbiegu Ożarowskiej i Wąworkowskiej w gęstym sadzie stał rodzinny dom Mirki Gilewskiej, nieco dalej Teresy Dziurskiej Maćka Kozikowskiego. Domy rodzinne, domy naszych wspomnień, a to na Szerokiej, a to na Wąskiej, na Zochcińskiej, w Rynku, Szewskiej i Łagowskiej i w Oficjałowie.

Za chwilę otaczają nas pozostali

uczestnicy spotkania – Teresa, Zosia, Marian, Heniek, Mirka, Lidka, Leszek, Ania i Zdzisiek. Przyjechali wcześniej od nas, podążając z Warszawy, Łodzi, Ćmielowa, Ostrowca oraz podobnie jak i my z Kielc. Wielu mieszka na starych śmieciach w Opatowie. W ten sposób jesteśmy jakby w komplecie, chociaż jest nas tylko szesnaścioro. Ale drużyna harcerska już by była, chociaż nieliczna. Sprawdzamy nieistniejącą listę obecności. Bielec Marian – jestem! Zachariasz Zofia (z domu Bełczowska), Moźdzynska Teresa (z domu Dziurska), Filarowska Stanisława (z domu Kwiatkowska), Gadkowska Aleksandra (z domu Gromek), Latus Kazimiera (z domu Gołabek), Jaworska Mirosława (z domu Gilewska), Lidia Andryka (z domu Rogala), Kochanowska Ewa (z domu Dominik), Dominik Anna (z domu Mendyk), Bełczowski Leszek, Kwiatkowski Henryk, Oficjański Kazimierz, Worotyński Lechosław (z domu Kuchta), Jakubowski Zdzisław, Wnuk Ignacy.

Mogło wprawdzie przybyć nas więcej, ale jedni odeszli już na wieczny spoczynek, innych akurat dopadła choroba, albo obowiązki zawodowe. Ktoś inny potraktował koleżeńskie zaproszenie małostkowo. Nie otrzymał bowiem oficjalnego zaproszenia na piśmie. Szkoda wielka, bo przecież nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze się spotkamy, choćby w tym samym gronie co dzisiaj. A tymczasem u Kazi rozpoczęły się rozmowy. Towarzystwo rozbiło się w grupki. Oleńka zaanektowała Ignacego. Żywo rozmawiają o planach wydawniczych na najbliższą przyszłość. Rozpoczynają się wspomnienia. Tyle jest przecież do opowiadania. Tylko, że pamięć już nie ta co dawniej. Okazuje się, że „z całego gmachu naszych pamiątek zostaje tylko ruina, z której najlepszy architekt nie mógłby odgadnąć całości. A wspomnienia gdzie? – zapyta niejeden.

Otóż wspomnienia, odpowiem: „to pamięć oczu, to obraz na którym wypełzły farby, zostawiając szkic niewyraźny” (Albert Wilczyński 1829 – 1900).

Może tak z tymi naszymi wspomnieniami akurat nie jest źle, może by się coś uzbierało, jakieś luźne fakty, szczegóły, dykteryjki obozowe, przeżycia szkolne? Później „strzelają” aparaty fotograficzne. Utrwalamy się grupowo lub pojedynczo. Tak sobie i pro memoria. Jak wyglądaliśmy w roku 1997, porównają ci, co spotkają się za lat kilka. A, że w południe burczy już temu i owemu w brzuchu, gospodynie – sponsorki zapraszają do stołowego, największego Kazinego pokoju. Jest niemal tak wszystko, jak w wierszu B. Ostrowskiego:

„Świat w złotym słońca skwarze,
W krąg ganku róże kwitną...

Obrusa biel błękitną.
Obsiadły drogie twarze.”

Ale ponieważ o postaciach i fizjonomiach już było, wspomnijmy o tym co się najbliżej nas znajdowało, w zasięgu ust. A więc gorąca zupa, potem drugie danie, mięsko rozpyływające się w ustach. A więc gorąca zupa, potem drugie danie, mięsko rozpyływające się w ustach, miejscowe opatowskie kartofelki, pyszna mizeria, kompot i oranżada. Na koniec clou posiłku. Na stół wjeżdża wielki jak kamień młyński, tort orzechowy wykonany rączkami Kazi, a transportowany z Kielc do Opatowa przez Kazinego męża. Świetny tort, że aż palce lizać. Ten i ów, zupełnie jak na obozie, głośno dopomina się o repetę.

Po południu chwila sjesty i znów spotkania, rozmowy i pogawędki. A kiedy już słońce zaszło zaczęły się dalsze rodaków rozmowy przy ognisku, śpiewy, które mimo najlepszych chęci nie

wychodziły tak dobrze jak dawniej i urywkowe wspomnienia. A chociaż mnie już tam nie było, wiem że atmosfera była bardzo przyjemna i sielska. I chociaż dawne lata nie wrócą, pozostają na osłonę wspomnienia, magiczne, niewyraźne, przyćmione, wypełzłe w kolorach.



